Rozmaitości.

Pismo to wychodzi w każdą NIEDZIELĘ, w Drukarni St. Gieszkowskiego. | Nr 15. | Prenumerata kwartalna, kosztuje Złp: 3.

Kraków dnia 13 Kwietnia 1834 roku.

MARYSIA Z ANDRYCHOWA.

—

Rozdział II.

URODZINY PANA MARCINA.

To moja naywiększa wada
Że tańcuje bardzo rada.
Powiedzcież mi me sąsiady
Jest tu która, bez tey wady?

KOCHANOWSKI.

Nazajutrz rano przyszedł do mnie móy rodzić, bom nadedniem cokolwiek zaspał, i rzekł: »A wiesz że co Pawełku, anibym sobie był przybaczył, że dziś są urodziny Pana Marcina, oyca śliczney Marysi, gdybym na jego sklep niewyjrzał, który na kłodki i rygle pospolicie w takim dniu zawarowany, odpoczywa; bo nasz Pan Marcin bardzo uroczyście swoje święto obchodzić lubi. Nikogo on do siebie niezaprasza, ale ktoby ze znajomych nieprzyszedł, to wieczny, nieubłagany, nieprzyjaciel. Ubierz się tedy czém prędzey, zawrzyjmy sklep, niech tam sobie sąsiedzi za nas co utargują; a my weźmy dorożkę, iżbyśmy z życzeniami naszemi mogli nie bydź ostatni. — Tak to on zaś daleko z tąd mieszka, zapytałem, że pieszo nie zdążymy? — Jest kawałek, bo on tu ma tylko mały sklepik na dzienny odbyt towaru, w którym zostaje na noc jego wiernek, coby się za własność pana dał zabić; a sam posiada śliczny dworek z ogrodem na *Nalewkach*, gdzie mieszka i ma ogromne składy. Ale co to za dworek! co za ogród! Móy Pawełku, jak tam wniydziesz, to będziesz myślał żeś u jakiego magnata. Inaczey tam Pan Marcin, inaczey Marysia patrzy. Co za pokoje! A uwierzysz ty; że posadzki są woskowane? komody, stoliki, krzesła, kanapy, lakierowane? firanki u okien z zielonego adamaszku z galonkami i frenzlami złotemi? No, ale resztę własnym twoim oczom zostawić wolę. —»

Uwinąłem się prędko z moją gotowalnią. Wdziałem karmazynowy żupanik atłasowy, szpinkę brylantową, i na wierzch czamarkę sut nowiutką; tak jakeśmy się pod ów czas ubierali w Krakowie, buty zaś kazałem sobie przynieść od naypierwszego szewca, żebym wyglądał jak można naylepiey. Jak mnie zobaczył oyciec, przyszedłszy po mnie abym siadał, tak ledwie mnie nieudusił w uściskach, mówiąc, że mi do twarzy, że wyglądam jak towarzysz od konfederacyi barskiey. »Nieday sobie, rzekł dalej, żadnemu tam z tych paniczyków czy tam woyskowych czy jakich bądź, jeżeli ich zastaniem, dmuchnąć w kaszę; bo chociażeśmy płóciemniki, ale dowiódłbym w potrzebie, że w nas ślachecka krew płynie.»

Przez drogę nic niemówiliśmy do siebie; bo ja dumałem o Marysi, i trochę mnie brała obawa abym się nieokazał wieśniakiem, w obliczu innych gości; a móy rodzic układał sobie, jak uważałem *Oracyą* dla Pana Marcina, bo ustawicznie końcówki z ust mu wychodziły i liczył na palcach syllaby.

Dorożka zatrzymała się z nami przed porządnym dworkiem drewnianym, którego okna wychodzące na ulicę, nieokazywały wewnątrz zapowiedzianego przepychu. Weśliśmy więc do pierwszey izby zupełnie jak u nas w Andrychowie prostéy, tylko w niey było z dziesięć ogromnych skrzyń pozamykanych, a okiennice ze środka zasuwane i potężnie okute; znowu mały alkierzyk, ale jak otwarliśmy podwóyne drzwi biało lakierowane do trzeciego pokoju, bo już nie izby, sprawdziły się wyrazy mego

oyca. Nayślicznieysze obicia, zwierciadła od sufitu do ziemi, stoliki, krzesła, kanapy od machoniu, posadzka jak szkło, firanki mogłyby się niepowstydzić i na pańskich pokojach. Okna wychodziły na ogród. Zastaliśmy tylko służącą, ładną i chędogą góralkę, która nam powiedziała, że Jegomość z Panną i gośćmi są w ogrodku i biesiadują w altanie, i czekają Panów z otwartem sercem.

Podemną łytki zadrżały, — przypomniałem sobie wszystkie słowa Pana Stefana, i nadzieja jak jaskółka na zimę, uleciała odemnie.—

Prześliśmy tedy jeszcze dwa równie piękne pokoje, w których grały zegary z kurantami, niżeliśmy dostali się do ogrodu Wszyscy prawie na przeciw nas wybiegli, jak tylko zbliżyliśmy się ku altanie. Pan Marcin, wziął mnie za rękę i rzekł do córki: »No, Marysiu, to jest widzę syn Pana Woyciecha; bądź »że mu tak życzliwą, jak ja wiesz, że jestem »jego rodzicowi» — Wtedy móy oyciec mu przerwał temi słowy: »*Ante omnia* Panie Marcinie, pozwólcież niech ja oracyą wam powiem, bo to wiecie, że co rok między nami bydź musi. Uciszyli się wszyscy. Marysia stanęła przy mnie, i duszę moję takiem uczuciem przejęła, żem się niepoymował z rozkoszy, a móy rodzic tak mówił:

»Przy dniu tak uroczystym kochany Marcinie;
»Bo się już chwała Bogu kochamy z pół wieka;
»Przyjmcie słówko szczerości co od serca płynie,
»Życzę więc, niech przygoda mija Was zdaleka;
»Niech Pan Bóg darzy zdrowiem i pomnaża grosze;
»Niech wam zsyła pociechy w jak naydłuższe życie;
»A mnie w stałey przyjaźni zachowaycie proszę;
»Bo żem ci wasz przyjaciel, w łzach moich widzicie.

Ostatni wiersz domawiając na pół z płaczem, uściskał i ucałował Pana Marcina i nareście obadwa tak się rozbeczeli, jakby po stóletniém niewidzeniu. »Móy Woytusiu, chełkając rzekł Pan Marcin, że ja was kocham serdecznie i iżbym dla was połowę dobra swego oddał, to Bogu naylepiey jest wiadomo. Oby nam pozwolił żyć w naydłuższe czasy! i żebyśmy nasze dzieci widzieli równie dla siebie życzliwe.» Tu znowu oba w płacz, ale Pan Marcin mocniey był rozczulony, bo już miał trochę w głowie.

Słowa te zapłonęły dziewczynę, że wyglądała jak róża rozkwitująca, —jam oniemiał,— goście spoyrzeli po sobie, — nie jeden z młodych paniczów woyskowych, których tam było dosyć, osobliwie od *Działyńskich*, (*) wlepili we mnie oczy; ale ja ośmielony uprzeymością Marysi, która mnie czule przyjęła, nabrałem tyle ducha, żem już to sobie miał za fraszkę, czy się komu więcey podobam, czy niepodobam.

(*) Półk gwardyi królewskiey tego imienia.

Weśliśmy potém do altany, — jam nie odstąpił już Marysi, i widziałem że chętnie była ze mną. Zaczęły się kielichy starego wina, a stół który był założony wytworem ciast i zimnych przysmaków, wszystkich ściągnął do siebie. Na konieczne Marysi naleganie, wypiłem kielich tokaju, i zacząłem dobrze zajadać. Marysia do koła obchodziła biesiadujących, a każdemu osobliwie swym rówienniczkom, chciała się czém przysłużyć. W tedy miałem dopiero czas przypatrzyć się z uwagą jey powabom i całemu ubraniu, które tą razą niebyło andrychowskie.

Kto był szczęśliwy w miłości, temu słodko i w późnych latach opisywać drogi przedmiot swoich uniesień; opiszę tu więc jeszcze raz tę Marysię jak w tedy wyglądała. Oczy niebieskie, prawdziwy obraz wypogodzonego nieba, dwie jutrzenki pełne ognia i czucia; brew czarna, rząsa długie połyskujące jak jedwab; usta małuchne, i ledwo z nich krew niewytryskała; włos na głowie kruczy, w puklach koralami przeplatanych, szyika łabędzia; reszta postaci, jakby ją dłuto Pigmalijona utoczyło. Suknia lśnicąca białością śniegu, na niey kaftaniczek zielony aksamitny, na złote guziczki zapinany. Ach nie!.... to niebyła dziewczyna od Andrychowa, to była nayśliczuieysza Warszawianka! jedna tylko niewinności skromność, odznaczała w niey dziewicę rodziny z pod gór karpackich.

Powoli coraz więcey zaczęło przybywać gości, ale też i na stole, co sprzątnięto wypróżnione półmiski i butelki, to postawiono znowu pełne. Skrzętna usługa, niewymuszona gościnność, słodki humor gospodarza i uprzeymość chożey Marysi, rozweselały wszystkich. Ku południowi coraz więcéy zaczęło przybywać gości. Kilku majętnych kupców a nawet i panków z żonami, odwiedzili Andrychowiaka. Przybył też i pan Stefan, ale zaraz postrzegłem że nie był gościem pożądanym; za całą odpowiedź na jego rozwlekłe życzenia, pan Marrin ofiarował mu kielich z rąk innego sąsiada, i zaprosił do stołu, wesołość nawet powszechna zdała się bydź nieco przerwaną; — ale ją wnet ożywił ostatni z przybyłych gości; był to 60 letni mężczyzna, w kontuszu paradnym gredeturowym niebieskim, żółtym żupanie atłasowym, w pasie litym, w czapce białey, w czerwonych bótach, przy sutéy karabeli, który jak wszedł z partesu do altany, rozumiałem że naymniey jest jaki wojewoda. Pytam więc z nieśmiałością Marysi, co by to była za dostoyna osoba? »Jestto odpowiedziała pan Karol Swierżawski, pierwszy aktor komiczny (*) z tutey-

(*) Sławny aktor komiczny od roku 1764 do 1804-5 przy teatrze warszawskim; którego bijografia bardzo interessowna, znayduje się w tomie V. dzieł *Woyciecha Bogusławskiego*.

szego teatru dawny także przyjaciel mego oyca.» Ledwo tych słów domawia, nowa perora chwilowe nakazała zawieszenie kielichów; Pan Swierżawski, pokręciwszy dziarskiego wąsa, tak ciął, przyimując podany sobie zaraz na wnieyściu puhar:

«CARISSIME AMICE!
«Już to dwadzieścia dziewięć lat się dziś nam kończy,
«Gdy w lichey kontusinie, wytartey opończy,
«Przyjaciel twòy Swierżawski, jak ścigany zając (*)
«Wpada w pośród Warszawy, z turmy uciekając;
«Kręci się, gdzieby znaleść kotlinę dla siebie,
«Coby go ocaliła w tak ciężkiey potrzebie;
«Aliżci los mu ciebie nadarza Marcinie;
«Ty ukrywasz zajączka w twey skromney kotlinie!
«Nieznany ci i obcy, dość że nieszczęśliwy,
«Znayduje w twojém sercu dar niebios prawdziwy!
«Mógłżeby więc zapomnieć, że dziś ten dzień miły,
«Wktòrym sobie dwie dusze przyjaźni poślubiły?
«Ze to dzień twych urodzin i jego zbawienia?
«Niech ci tedy Bòg wszystkie uiszcza życzenia,
«Niech ci zdrowie i złotko wdzięcznie się uśmiecha,
«Gdzie spoyrzysz, niech cię wita radość i pociecha!
«Niech się nigdy frasunek z tobą niepobrata,
«Nakoniec żyj Marcinie w jak naydłuższe lata!

Dixi! rzekł, i duszkiem ogromny puhar wysączył, a Pan Marcin z radości zaczął powtórnie płakać. «Ey! co tam przyjacielu, zawołał Pan Swierżawski, zostawmy czułość w sercu, a w oczach i na licach wesołość niech panuje. Ale ja wam tu zaraz dowiodę, iż dobrze o tóm pamiętałem. Zacna Maryniu! niech no panienka raczy pobieżyć przed ganek, siedzi tam sześciu wiarusów, co nam tu zabrzmią nasze odwieczne a lube: *Kochaymy się!*»

Marysia zrozumiawszy od razu żądanie Pana Swierżawskiego, wysunęła z altany jak sarna, i dała mi znak oczyma, żeby jey towarzyszyć. Serce we mnie zadygotało z radości. Pobiegłem za dziewczyną, którey każdą stopę na piasku wydeptaną po drodze, radbym z uniesieniem całował. Znaleźliśmy przed gankiem sześciu muzykantów, którzy na skinienie Marysi, weszli natychmiast do ogrodu i ucięli hucznego marsza; my zaś, sam niewiem jakim sposobem, bo mnie pamięć w tedy odbiegła, weśliśmy do przyległego pokoju, w którym zegar dokończał grać, owego czułego mazurka:

Piąty roczek mija, jak Marysie lubię,
Jeśli ją utracę, pewno się sam zgubię.,,

»Czy zna Pan Paweł tę piosneczkę, odezwała się do mnie głosem anielskim? Ja bardzo wielkie mam w niey upodobanie, i póty naprzykrzałam się o nię mojemu oycu, poki się nienakłonił do ugodzenia orgarmistrza, że mi ją przy tym zegarze w pozytywku umieścił.

»Znam, i lubię jey słuchać, przebąknąłem drżącemi usty; bo miłość swoim czystym płomieniem przeszyła mnie już na wylot. Spoyrzała na mnie tkliwie po tey odpowiedzi Marysia, i widząc tak nieśmiałym a może i poznając że cały nią oddycham i płonę, do innego celu zwróciła mowę. »Nieuwierzy Pan Paweł, jak mi przyjemno, że go mam szczęście poznać; bo choć z jednego mieysca pochodziemy, ale ja maleńką bardzo opuściłam Andrychów, a zatem się oboje niepamiętamy. Niepoymuję czém się to dzieje, że mi zawsze jakoś tęskno do tego Andrychowa; ale to może dla tego, że tam moja matka spoczywa,... i że tam jeszcze móy dziaduś żyje... Oh! po, wiedz że mi też WPan, czy znasz go, czy zdrów i zawsze taki wesół?... Jakbym też rada widzieć go teraz!... On mnie przez każdego, co tu ztamtąd przyjedzie, pozdrawia i błogosławi... » — Dwie łzy, perły naykosztownieysze, spłynęły jey po licach; lecz ja niecierpiąc kłamstwa musiałem jey się przyznać, że niemiałem sposobności widzenia go w tych czasach dla zatrudnień handlowych; ale to wiem, dodałem: że się ma lepiey, i że co dzień podług swego zwyczaju bywa w kościele.— Wiele jeszcze rozmawialiśmy o Andrychowie, i zdawało się że Marysia pragnęła oraz tym sposobem ośmielić mnie ku sobie. »Czy długo u nas Pan Paweł zabawić myśli? odezwała się znowu z pewném pociągającém wyrażeniem. — Dotąd nic jeszcze niewiem, to zależy od woli oyca mego, odpowiedziałem.

Chciała znowu coś do mnie przemówić, kiedy z łoskotem wpadł do pokoju jeden z biesiadujących młodzików, i spoyrzawszy na mnie z satyrycka, rzekł do Marysi: »Cóż to znaczy? Marynia nas odeszła, a tam cała altana w ruchu i pogotowiu do tańca? Polskiego już zaczęto. Co do mnie przyszedłem tu zamówić sobie jey śliczną rączkę na całą uroczystość dzisieyszą. — Bardzo chętnie, odpowiedziała dziewczyna, ja lubię tańczyć. A pan Paweł (obracając się do mnie) czy jest tego samego gustu? Nie inaczey, odpowiedziałem, chcąc współzalotnikowi okazać, że mnie przybycie jego bynaymniey nie zmieszało; jeżeli Marysia pozwoli sobie także służyć. — O! z całey duszy, rzecze z uśmiechem i słodkiém przymileniem dziewczyna biorąc mnie poufale za rękę; jesteśmy przecież swoi, to nam będzie z sobą naylepiey. Wiem że ten pan nie weźmie tego mi za złe, że mu dla tey przyczyny nie obiecuje się wyłącznie.» — Wyrazy te wsadziły mnie na sto koni, a mojemu przeciwnikowi nadstawiły potężnie nosa. Nie byłem ja takim niezgrabnym jak z początku o mnie rozumiał, a ośmielony teraz słodkiém poufaniem Marysi, na przekor podałem jey rękę, ofiarując się do naypierwszego mazura. Pełen szyderskiey miny przed chwilą nasz satyrystyczny panicz przygryzując teraz paznogci, niewiedział sam co daley mówić, i na próżno

(*) *Był w przód możnym przy trybunałach poznańskich, i tam zapewne wykroczenie, tkazany wyrokiem sądów magdeburgskich na wieżą. uciekł, spuściwszy się po dachu ratusznym prawie cudem, że tylko ulewey ręki dwa palce złamał.*

szukał po głowie spylonego dowcipu, dla dania sobie wyższości, to chwaląc moją szpinkę brylantową, to czamarę, to dewizki złote od zegarka, bo ja mu na to wszystko naygrzeczniey odpowiadałem, tak jakbym go znał od lat 10 i bardzo lekce ważył.

Za powrotem do altanny, uyrzał mnie oyciec z daleka prowadzącym Marysię i widziałem na twarzy jego wielkie uradowanie, gdy w tém z przeciwnéy strony, przyskoczył ku nam zuchowato P. Swierżawski i wziąwszy za rękę Marysię, rzekł uderzając się po czole: «Nayprześliczniejsza Marysieńku, chcę dziś bydź twoim rycerzem, ale to tylko do naszego kontuszowego.— Dobrze, odpowiedziała Marysia, lecz ja tu mam (wskazując na mnie) swego rycerza do wszystkich razem tańców; potrzeba więc jego prosić o pozwolenie i to tylko na ten jeden, bo na więcéy, (patrząc na mnie anielskiemi oczyma) tobym sama niepozwoliła.....»

Wszyscy na mnie oczy powytrzészczali, a osobliwie młodzież nadskakująca Marysi; zaś P. Swierżawski odezwał się w te słowa: «Winszowałbym ci moja panienko tego wyboru, bo z miny widzę że Krakowiak i brat *Polonus*, i w tym pochwyciwszy kielich krzyknął: «Niech żyją kontusze i czamary! Niech żyją! krzyknęli za nim wszyscy woyskowi, i jak też rozpoczęły się tańce, tak trwały do obiadu, który także około trzeciéy z południa nastąpił był w altanie; ale potém zaprosił nas gospodarz do swoich komnat, gdzie chulanka już nieprzerwanie trwała do następnego wschodu słońca.

Owi paniczykowie, co się ich móy oyciec trochę obawiał aby mnie nie poniżali, cisnęli się potem do mnie, jak mnie lepiéy poznali, jak im powiedział Pan Swierżawski, co ze mną długo wprzód mówił: «*że chociaż Andrychowiak, ale skończył nauki wyższe w szkołach krakowskich, i nieda z siebie żartować.*« A wszyscy officerowie nazywali mnie »*kochanym Krakowczykiem*» i takeśmy w naylepszéy byli harmonii. Pan Stefan, dowiedziałem się niebawem, że jest prostak i plotkarz stary, i dla tego też nie cierpiała go Marysia. Z tąd nieraz, kiedy postrzegła że ją szpieguje, udawała naumyślnie zalotnicę. Żaden z tych wszystkich młodzików co tam bywali, nieprzychodził w złey myśli; tylko że oyciec jey co niedziela przyjmował bardzo chętnie każdego ze znajomych i lubił że dziewczyna po całotygodniowéy pracy w sklepie, miała z kim uczciwie się zabawić. Jeden tylko z nich, to jest ten sam co jéy do tańca był szukał, palił miłosne kadzidła, ale bez wzajemności.— Marysia mi wszystko w ciągu téy roskosznéy chulanki opowiedziała, bośmy prawie nierozerwanie byli z sobą w naysłodszém omamieniu.

Nic w życiu tak mocno nie ożywia uczuć nayczystszych miłości, jak taniec.— Wszyscy, a nawet i móy nieszczęśliwy współzalotnik, odstąpili mi Marysi dobrowolnie tego wieczora, ledwie czasem w odbijanym dostała się na chwilę komu innemu, to mi ją zaraz potem, jakby już oblubieńcowi sam oddawał; mieliśmy przeto nieograniczoną sposobność do lubego spoufalenia. Ach! ten naysłodszy wyraz, którego wdzięczne brzmienie pierwszy raz w życiu zdołałem uczuć w tedy,— to niewinne słowo: »*Ty!*» wyrzeczone do mnie z ust kochaney Marysi, otworzyło mi drogę uszczęśliwienia, jakiego sobie dotychczas wyobrazić nie byłem zdolny; to lekkie ściśnienie mey ręki, w chwili kiedym powiedział z nieśmiałością w śród tańca, *że radbym przy Maryni żyć i umierać teraz*, stało się dla mnie niebem.—

Moja Marysia zacząwszy bydź raz poufałą, nie pozwoliła mi nawzajem inaczey mówić do siebie.— »Jeżeli dobry Pawełek nie uraża się moją śmiałością, rzekła do mnie z tkliwem weyrzeniem, to, zapomni nawzajem, »*ślicznej Maryni i panny Maryanny*»— tylko z *Marysią* mówić będzie.— Naówczas przytuliłem jey rękę do ust moich i rzekłem: »Dobra Marysiu!.. a wonia nayczystszey miłości, rozlała się po mojém sercu. O jak słodkie są wspomnienia jey pierwszych uczuć!.... jeszcze w ten moment, gdy to piszę, odradzam się jak latorośl wiosenna i w lubym zostaję obłędzie, że ją widzę w tey samey postaci nadziemskiey i napawam się jey obrazem.

Już promienie słoneczne zaglądając do okien i niwecząc blask nocnych świateł, przestrzegły nas o bliskiey porze rozstania się na kilka godzin spoczynku, po lubym znoju.— Zaczęto się rozchodzić i rozjeżdżać. Chwili tey wysłowić niepotrafię, bo ona była chwilą dopełnienia szczęścia mojego; było to hasło dwóch istot jedną duszę składających po między sobą... był to drugi czarujący wyraz Marysi, kiedy odprowadzając mnie do ganku, ściśnięta za rękę, powiedziała mi: *że mnie kocha*....

KONIEC ROZDZIAŁU DRUGIEGO.

MODY.

Przyznać trzeba, że i moda ma swoję dobrą stronę. Łaskawe czytelniczki, osobliwie piękne i młode, nie wezmą nam za złe, gdy im z ostatnich dzienników mód paryskich, zamiast nowych strojów, wypiszemy tu po krótce nową ustawę dla Panienek, jakiemi bydź powinny aby się stać modnemi a przeto i powabnemi.

Modna teraz Panienka, powinna bydź do wielu rzeczy *podobną* i *niepodobną*. Powinna bydź czystą jak śnieg, — lecz nie tak jak śnieg łatwą do roztopienia.— Powinna bydź jak gwiazda wypogodzoną i świetną — lecz naodwrót niepowinna jak gwiazda wieczorem bydź widywaną.— Powinna bydź jak sér szwaycarski łagodną a przecież trochę szczypiącą, — ale nie powinna mieć tak wiele oczu! — Powinna bydź smagłą jak rybka, ale nigdy tak śliską bydź jey niewolno.— Powinna jak świeża cytryna mieć wewnątrz nieskażone serce; — lecz nigdy niema jak tamta, kwasem życia drugich zaprawiać.— Nareszcie jak świeca woskowa, powinna tylko w zakresie domowym blask wydawać, — lecz niepowinna potrzebować tak jak tamta, ustawicznego objaśniania!....